



Adam Cebula "Politpunk, czyli dlaczego katastrofa musi się zdarzyć"

Adam Cebula



Foto: pexels.com

Poważny dziś literat Jacek Ingot rzucił na którymś konwencji hasło „politpunk”. Cóż to miało wedle naszego kolegi oznaczać, szczerze przyznam, że nie pomnę dziś, ale sam termin wydaje mi się jak najbardziej pasujący do tego, co tu napisałem. Właściwie powinien zacząć od ostrzeżenia: choć to nie jest moją intencją, to ów tekst może wnerwić, może ubóść, zranić uczucia. To właśnie taki politpunk, rebelia przeciw wszystkim i wszystkiemu. Co najgroźniejsze, to nie bunt bez powodu, wynikający z potrzeby buntu. To wynik chłodnej oceny tego, co zrobić trzeba, żeby rebelii nie było.

Mamy akurat taki czas, że poprzez tak zwane media przelewa się fala rozpacz, żalów i strachu. Bo świat nie chce leżeć tam, gdzie zdaniem intelektualistów (albo tych, co chcą za nich uchodzić) iść powinien. W istocie pcha się w maliny – trudno inaczej to nazwać. Pladze na imię populizm.

O ile biadanie, że w kolejnych wyborach ludność wybrała nie tych, co powinna, można próbować pomijać taktownym milczeniem – przegrani zawsze lamentują i zawsze w związku z przegraną wieszczą koniec świata – to pewne zdarzenia przekraczają granice subiektywnego osądu. Brexit.

Bardzo mi przykro: literatura nigdy nie może być doskonale obojętna wobec polityki. Od czasu do czasu można kiwać palcem w bucie na różnice pomiędzy jakimiś ugrupowaniami, ale raczej wówczas, gdy programy są rozsądne. Gdy politycy nie chodzą mocno po ziemi, literaci zaczynają pisać dołujące dystopie. Niestety, czasami też pismak ma obowiązek jak pies łańcuchowy zaszczekać, gdy zwęszy złodzieja lub podpalacza. Musi, choć wielu słyszy jedynie nieznośne ujadanie.

Osobna sprawa, że ów psi obowiązek ma osobnik związany z SF. Inni szlachetni pisarze nie mogą, bo trzeba użyć słów, które brzmią w kontekście ich pisania nieprzyzwoicie. Tak, wysoka literatura może powiedzieć „dupa”, jak zauważył dawno Gombrowicz, „gówno” także. Ale tu chodzi o słówko, którego się w mowie niemal wiązanej, szumiącej jako pieśń stepowa, tolerować nie da. Brzmi ono „produkcja”.

Tak, dzieją się rzeczy złe. Brexit z niewielkim marginesem błędu jest destrukcją. Osobne pytanie, czy Wielka Brytania powinna być członkiem Unii Europejskiej, i na jakich warunkach, jeśli tak. Natomiast kto ma otwarte oczy, widzi, że cała operacja zamienia się w robienie sobie krzywdy przez spory kraj. Jest tylko pytanie, jak wielka ona będzie: czy skończy się tylko na gospodarczej bryndzy,

czy nie stanie się ona katastrofą, np. oderwaniem się Szkocji, po którym Wielka Brytania będzie już raczej niewielka.

Nie, zdecydowanie Donald Trump to nie jest dobry prezydent USA. Trump nie wygrywa wojny gospodarczej z Chinami. Chiny, jak się zdaje, właśnie zdobyły dominację w nowej technologii telefonii komórkowej 5G.

Niestety wynalazcy prochu i papieru mają też ambicje terytorialne. Słynne sztuczne wyspy na Morzu Południowochińskim stają się coraz większym problemem. Jakiś czas można się przeciwstawić militarnej ekspansji Chińczyków, ale tylko do momentu, gdy potencjał armii USA będzie znacznie większy. A nie będzie, jeśli Stany nie będą górować gospodarczo i technologicznie. Otóż Ludzie z USA godzą się z utratą prymatu i podają nawet daty, moim zdaniem dość optymistyczne.

A owszem, była koncepcja, jak utrzymać przewagę „naszych”. Tę perspektywę dawało negocjowane Transatlantic Trade and Investment Partnership. TTIP Trump uwalił. Niezależnie od tego, jakie kontrowersje budziła umowa, a także od tego, że mogła narobić dużo szkód, to jedynie stworzenie wielkiego wspólnego rynku daje szansę na zrównoważenie gospodarczej ekspansji Azji.

Brak umowy z USA i niechęć jakże oryginalnego amerykańskiego prezydenta do UE rodzi naturalną konsekwencję: w próżnię wchodzi budowa Nowego Jedwabnego Szlaku. Uczestniczymy w niej, nawet z pompą chwaliliśmy się otwarciem terminalu przeładunkowego w Łodzi.

Jeśli spojrzymy na nasz kraj, to mamy bardzo podobne zjawisko: robienie sobie krzywdy bez żadnej potrzeby. Wybraliśmy sobie do rządu partię, która w ramach „wstawania z kolan” doprowadziła do konfliktu ze źródłem ojro. Dodatkowo Putinowi dobrze by było demonstrować spoistość sojuszków, w jakich jesteśmy. Żadnych zasadniczych konfliktów wewnątrz UE – dla naszego własnego bezpieczeństwa. A my chcemy na odwrót.

Jaki jednak interes ma w tym tak zwany wyborca? Pytanie, czemu złodziejstwo na poziomie części do wiertarki budzi ogień społecznego sprzeciwu, a próba gwizdnięcia całego banku wartego kilkadziesiąt miliardów, uchodzi?

Jak okiem sięgnąć, tak zwane poważne publikatory zachodzą w głowę, co się dzieje? Z jednej strony gołym okiem widać, że szlag trafia porządek tego świata. Choćby to, że przewidywalny satrapa w postaci USA prawdopodobnie będzie musiał się pogodzić z dominacją satrapy nieprzewidywalnego, czyli Chin, które właściwie oficjalnie deklarują zamordyzm? Z drugiej ludność zagrożonych krajów wybiera sobie takich wodzów, którzy zamiast coś ratować, potęgują zagrożenie.

Groza wylewa się z artykułów, w których usiłuje się dociec, czemuż to wyborca, zamiast grzecznie poprzeć Angelę Merkel, woli AfD, czemuż to tak dobrze trzyma się Wiktor Orban?

Groza tym bardziej że w dużej mierze, o czym już nie piszą owi dociekliwi, sytuacja przypomina tę sprzed I wojny światowej. Kroci się zmiana układu sił na świecie – i to na wielką skalę. Co groźniejsze, mamy przynajmniej dwa potencjalne mocarstwa, Chiny i Rosję, które – gdy się dogadają – zablokują (nawet na dzień dzisiejszy) użycie przez całe NATO siły militarnej, gdyby jednemu z nich zechciało się coś zająć. Choćby jakiś średniej wielkości kraj w Europie Wschodniej.

Zaś reszta świata, zamiast grzecznie tworzyć koalicję, która to zablokuje, wybiera rządy, które... no właśnie co? Realizują jakies Breksyty (jak się zdaje, tak trzeba to słówko odmieniać) czy wstawanie z kolan. W większości przypadków, patrząc z zewnątrz, widać, że w demokratyczny sposób ludzie wybrali sobie władzę, która obiecała im zrobić krzywdę. I robi.

Że próbujący ogarnąć te zjawiska nie mają pojęcia, o co chodzi, świadczą choćby próby ich

klasyfikowania. Są mniej więcej tak skuteczne, jak uprzejme nazywanie przez moją żonę potraw, które wykonuję, jedynie dla siebie. „A... to miał być gulasz”. „Chciałeś zrobić ri... (risotto?)”. Przy czym żona wie. Dla przydania elegancji sytuacji sugeruje, że znam pewne zasady kuchni, o których oczywiście pojęcia nie mam. Jak nieklasyfikowalne w ramach rozsądnej kuchni są moje potrawy, tak owe populistyczne ruchy nie dają się wsadzić w szufladki przeznaczone dla pi razy drzwi „zwykłej” polityki, w której zakłada się elementarny rozsądek. Na przykład taki, że nie można być tak za, że aż przeciw.

Bardzo mi przykro, ale z funkcjonalnego punktu widzenia nasz rodzimy PiS a także reszta „na prawo” to nie konserwatyści. Ani prawica. Ponieważ konserwatyści z natury rzeczy chcą paktów dochowywać. W szczególności strzegą się jak ognia rewolucyjnych zmian. Ponieważ za dobrą uznają ewolucję, przez to lepiej zachować nawet kiepskiego władcę, byle nie przewracać systemu do góry nogami.

Probreksitowe ugrupowania z Anglii są konserwatywne tylko w tym sensie, że marzy im się powrót do tego, co było dużo dawniej. To konserwatyzm mniej więcej taki, jaki prezentują polscy monarchiści. To coś, co nie jest przeznaczone do realizacji, to poza, dzięki której zdobywa się lajki na Facebooku. Realizacja pomysłów staje się katastrofą dla pomysłodawców. Gdyby Donald Trump był przekonany do kapitalizmu, nie próbowałby uwalać konkurencji, uznałby, że dla gospodarki na dłuższą metę współzawodnictwo zawsze wychodzi na zdrowie. Nawet jeśli są to firmy motoryzacyjne z Niemiec, a konkurencja regulowana umową TTIP.

Nie wiem, czy słówko „protokomuna” na coś się przyda, ale mi akurat najbardziej pasuje na wspólny mianownik tych ruchów. Wódz pierwotnej hordy, jaką mamy w wyobraźni, ale której chyba nigdy nie było, sięgałby po podobne środki. Zasadą, która dominuje, to „Kali komuś ukraść krowy, dobrze”. Najwięcej wspólnego widzę z ludowymi buntami z okresu mniej więcej drugiej połowy XIX wieku typu rewolty Jakuba Szeli.

Niestety, słówko „populizm” jest mylące. Sugeruje, że owe ruchy to coś, co jedynie można wyrzucić do kosza. Nieprawda. To coś jak bunty tkaczy z Bielawy i Pieszyc z końca XVIII wieku – nie wzięły się z powietrza. Gdy dochodzimy do konkretnego, opowiada się tę humanistyczną część prawdy. Tkacze głodowali przez nierówny czy niesprawiedliwy podział dóbr. Bo faktycznie w XVIII wieku nie było zasiłków dla bezrobotnych. Jakaś racja w tym jest, ale najpierwsza przyczyna jest tak banalna, że aż niedostrzegalna. Tylko ten od SF powie, że za mała była produkcja.

Aby dobra podzielić – jakkolwiek, źle, lub dobrze – trzeba je najpierw wyprodukować.

Dziś raczej mało kto ma wątpliwości, że do zwycięstwa Hitlera przyczynił Wielki Kryzys. Czarny czwartek (24 października 1929 roku) zdarzył się za oceanem, ale chaos, jaki wywołał, dotarł do już ledwo zipiących Niemiec. Cały ten proces zwykle opisuje się poprzez szalejącą inflację, jak się elegancko mówi, kryzys sfery bankowej, ale to ma zawsze nieuchronną konsekwencję: ograniczenie produkcji. Jak nie da się sprzedać towaru za cenę, która gwarantuje opłacenie robotników i surowców, produkcja musi się zawalić. Jeśli by jakimś cudem dalej trwała, jest sto sposobów, by ów bankowy kryzys wyminąć. Od wymiany towar za towar po rozdawnictwo.

Po II wojnie światowej nie nałożono kontrybucji na Niemcy. A tak, mamy słynne zdjęcia filmowe, jak żołnierze rozrzucają w tłum bochenki chleba. Uruchomiono Plan Marshalla. Aby ludziom nie cknęło się za Hitlerem albo za czerwonymi, należało zapewnić im możliwość dostatniego życia i rozwoju. Dziś już rzadko się wspomina, że okres powojenny był okresem szybkiego wzrostu gospodarki i w USA i w Europie Zachodniej.

Lata 50. w USA to rock and roll, wielkie kabriolety, rozwój transportu lotniczego, czas prosperity

praktycznie we wszystkich dziedzinach. Oraz ostrego przeciwstawiania się komunizmowi. Bo szła produkcja samochodów, domków jednorodzinnych oraz płyt z szaloną muzyką. Żadnych ekstremizmów, żadnych rewolucji, gdyż ludziom żyło się dobrze.

Żarło, żarło i zdychać zaczęło gdzieś tak w połowie lat 80. Kiedy padł ZSRR i niektórzy ogłosili, że zaczyna się okres wiecznej szczęśliwości, w rzeczywistości ruszyła destrukcja. Kilka lat temu na pewnym specjalistycznym portalu ukazał się rodzaj felietonu na temat rynku foto. Autor rozczarowany jego stanem doszedł do wniosku, że zbliża się czas wymierania „dinozaurów (wielkich firm, które zdaje się okopały się na swoich pozycjach i oferują towary kiepskie i drogie). A co najważniejsze, takie, które jedynie udają nowoczesność. To nie ja, malkontent, ale ktoś młodszy, z innego środowiska, można by rzec, w apogeum cyfrowej rewolucji w fotografii spostrzega, że coś jak w „Kongresie futurologicznym” nie jedziemy wygodnie windą, ale małpim sposobem zasuujemy, wspinając się po linie. Komfort jest jedynie złudzeniem.

Wokół nas szaleje postęp. Zwłaszcza w informatyce. Procesory już dotarły do ściany wyznaczonej przez prędkość światła. Tymczasem... Wiele razy o tym pisałem: jak powstał Linux? Bynajmniej nie jest to, jak pisali szefowie koncernów informatycznych, „wynalazek lewackich intelektualistów”. Tak zwyczajnie po wyprodukowaniu procesora Intel 386 wielkie firmy nie potrafiły napisać na niego systemu operacyjnego, który wykorzystywałby jego najważniejsze możliwości. Ten procesor mógł pracować jak centra obliczeniowe, z wieloma użytkownikami, wieloma pracującymi jednocześnie uruchomionymi programami. Było dość ludzi, którzy na to czekali. I okazało się, że system gospodarki towarowo-pieniężnej nie potrafił za pieniądze wyprodukować tego, co zrobiono za friko.

A teraz o sprawie dużo poważniejszej. Skąd się wziął oil peak? [Pisaliśmy dawno temu w naszym dzielnym piśmie](#). Był taki czas w historii, że ceny ropy naftowej poszybowały z poziomu 60 \$ w okolice 140 \$ za baryłkę. Jak to się stało, że po pewnym czasie zanurkowały, o ile pamiętam, do 40 \$? O pierwszej składowej zjawiska jeszcze powiemy: spekulacja. Ropa leży w ziemi, jej wydobycie jest relatywnie łatwe. Państwa OPEC mogą się zebrać, namówić i przykręcić kurki. Ceny poszybują w górę. Ale moim zdaniem ważniejszy był powód drugi: przerwanie poszukiwań złóż.

Można to napisać tak: są ludzie którzy zajmują czymś, co nazwiemy „produkcją złóż”. Dziwne? Muszą wykonać bardzo konkretną robotę: znaleźć, gdzie jest ta ropa, oszacować, ile jej jest, podać metody wydobycia, oszacować ewentualne zyski i potrzebne nakłady.

Tłumaczono nam, maluczkiem, że na skutek tego, że ceny ropy przez długi czas były niedoszacowane, nie było kasy na tę robotę. Być może, ale jak by nie kombinować, nie wykonano jej i w pewnym momencie towaru złoża zabrakło.

To już szczęśliwy zbieg okoliczności, że na skutek zмовy producentów ropy ceny wywindowano tak wysoko, że nie tylko ruszyły poszukiwania, ale opracowano sposoby eksploatacji owych słynnych łupków i okazało się, że żadnego końca świata nie będzie, ropy jest dużo za dużo i trzeba szukać specjalnego powodu w postaci Globalnego Ocieplenia, aby wygenerować problemy z paliwami.

Kolejny temat z okolicy motoryzacji: a czemuż to przez wiele lat koncerny samochodowe omijały instalacje gazowe jak coś nieprzyzwoitego? Czemu przez wiele lat ten „wynalazek” był montowany po amatorsku przez rzemieślników? Pomimo masowego zainteresowania, pomimo wyraźnych korzyści ekonomicznych? Czemu tę innowację ludzie musieli jak Linuksa robić sami?

Plaga współczesnego populizmu: ludzie nie wierzą w szczepienia. Dlaczego? A gdyby medycyna wykazała się w ostatnich 30 latach jakimś spektakularnym wynikiem? A choćby jedynie odczuwalnym postępem? Taka ciekawostka: Światowa Organizacja Zdrowia WHO uznała (okolice roku 2013) jako pierwsze państwo na świecie Kubę, w którym [wyeliminowano przypadki przeniesienia z matki na](#)

[dziecko przenoszenie kiły i HIV](#). Cóż... Kuba jedno z najbiedniejszych państw świata i coś takiego? Jak to możliwe?

Tymczasem ludzie widzą służbę zdrowia przez takie historie, jak [wciskanie zamiast wody utlenionej jakieś 43 razy droższych środków, które robią to samo](#). Takich przypadków jest znacznie, znacznie więcej. Cała dietetyka wygląda na robienie ludzi w balona: raz jaja są be, raz zdrowe, sól to biała śmierć, ale bez soli umierasz. Pytanie, jak po kilku takich lekcjach traktować medycynę poważnie?

Towar zwany leczeniem wygląda niestety na kanciarstwo. Nieważne, że medycyna cały czas się realnie rozwija, ważne, co się usiłuje wcisnąć „ciemnemu ludowi”.

Czemuż to Polska zgodziła się na ciężką tak zwaną reformę Balcerowicza? Pisano wiele o naprawie naszej narodowej waluty, o uzdrawianiu przeróżnych rzeczy. Naprawdę ludzie marzyli o tym, by dostać towary choćby podobne do tego, co mogą mieć ludzie na mitycznym wówczas Zachodzie (chyba trzeba pisać dużą literą). Trzeba było coś porządnego wyprodukować. Czasami ktoś pisał blisko prawdy, że chodzi nam o poprawę wydajności pracy. Więc tak naprawdę o dobre zorganizowanie produkcji.

Jest pewien hak humanistycznej natury, że o tymże technicznym aspekcie nie wypada pisać: bo to tchnie komunistyczną gospodarką planową, która na przykład potrafiła zorganizować produkcję nikomu niepotrzebnej albo do niczego nienadającej się stali. Cóż... Naprawdę gospodarka organizowana wedle leninowskich zasad najzwyczajniej nie dawała sobie rady z produkcją. Komuna w nie tylko w Polsce walnęła się, ponieważ w końcu nie dawało się upędzić dość wódki, że o papierze toaletowym (wynalazku dekadencckim, z gruntu obcym klasowo) już nie wspomnimy.

Ktoś z doświadczeniami z peerelu nie ma kłopotu z wykrakaniem, że to musi walnąć, gdy zobaczy, że chodzi o kłopoty z produkcją. Ktoś, kto zna historię, coś dopowie do często powtarzanej propagandy straszącej nas skutkami globalnego ocieplenia. Nie, sama zmiana klimatu nigdy nie była przyczyną czy to upadku wielkiego imperium [Majów](#) (nie, nie znam się na historii prekolumbijskiej Ameryki, chyba jednak Majowie...). To nie susze same w sobie, to prawdopodobnie awaria w organizacji obsługi systemów nawadniających. Nawalił ichniejszy wod-kan, a to jak w komunie pociągnęło za sobą łańcuszek braków, w tym przypadku po prostu żywności. Podobnie Szwedzi nie przez to zwalili się do Polski, że Bałtyk zamarzał – jak pamiętam, nie przeszli po lodzie, ale którędyś-tam. Na skutek zimna siadła im produkcja zbóż, w szczególności owsa nie starczało nie tylko do upędzenia.

Czemuż to tak ochoczo w latach 90. wywożono produkcję już do Chin, już to Tajlandii czy innego Pakistanu? A czemuż to nie robiono tego wcześniej? Bo... zastanówmy się – dzielni kapitaliści obawiali się wyprodukowania szajsu? Raczej za twarz trzymał ich jakiś Urząd Ochrony Konsumenta. Na który trzeba się było zgodzić, dokąd istniała ZSRR, bo wkurzony klient łatwo zatęskni za komuną. Lecz komuna padła i odkryto przeregulowanie gospodarki. Więc dla zwiększenia konkurencyjności zezwolono na produkcję „chińszczyzny”, czyli taniego szajsu.

Wiele razy pisałem: zastopowano finansowanie badań podstawowych, nie powstały nowe technologie. Bez sięgnięcia do trywiału technologii pewnych rzeczy się nie widzi. Na przykład, że jak wiele razy pisałem, niczym krew z nosa idzie wprowadzanie półprzewodników na bazie węgliku krzemu. Tak dla bardziej obeznanych: nie wygląda, żeby zasadniczym kłopotem był problem z uzyskaniem dużych monokryształów, skoro elementy takie jak tranzystory i tyristory pakuje się w obudowy przeznaczone dla urządzeń na bazie krzemu. I skutek mamy taki, że drastycznie zostaje ograniczony zakres temperatury pracy. Mógłby realnie wynosić do 400 stopni Celsjusza, a kończy się 200 stopniach.

Skoro nie produkujemy niczego, co wymaga solidnego, wykształconego, z wysoką kulturą techniczną

pracownika z Niemiec, Anglii czy Czech, Szwecji, Finlandii i tak dalej, to nie ma sensu mu płacić. Skoro inni zrobią to samo, za miskę ryżu...

Marna produkcja jest przyczyną zdawałoby się odległych kłopotów. Ot, choćby wykształcenie. Człowiek z dobrym wykształceniem nie cieszy się z pięćset plus, wie, że raczej nie ma sposobu, żeby nie oznaczało to siedmuset minus. Człowiek wykształcony średnio ma lepszą robotę, lepiej płatną, ma perspektywy, a w kłopotach, o dziwo, radzi sobie lepiej. Wbrew obiegowym legendom.

Jeśli jednak nie idzie jakaś produkcja, to nie ma napędu do nauki.

Czemu nauczania nie daje się skutecznie sprywatyzować? To się wyklada zwłaszcza gdy nie produkujemy. Bo nauka nie jest towarem, to nie jest coś, co ludzie chcą nabyć. Pewnie z ochotą zapłaciliby za wiedzę, która po przelaniu odpowiedniej sumy pojawiłaby się im sama w głowach. Nie chcą jednak płacić za zrobienie sobie ciężkiej nieprzyjemności. Zwłaszcza wówczas, gdy nie widzą powodu, dla którego mieliby się poddawać długiemu, upokarzającemu i wymagającemu wielkiego wysiłku procesowi uczenia.

Gdy jednak musimy coś produkować, znajdują się sposoby, by ludzi do nauki nagonić. Skutek wykształcenia? Jak widać po rozkładzie głosów, zwłaszcza w naszych ostatnich wyborach samorządowych, ci w wielkich miastach, ci z lepszym wykształceniem jakoś nie kupują ani dobrych zmian, ani wstawania z kolan.

Ale gdy „produkcja nieważna, ważna sprzedaż? No to wywozimy produkcję do Chin. Kilka razy już pisałem: po wybuchu kryzysu roku 2008 publicyści (chyba m.in. Paweł Wroński) powątpiewali, czy jest w ogóle możliwy powrót do USA przemysłu elektronicznego. Ponieważ tam już nie ma inżynierów.

[Ruch Occupy Wall Street](#) faktycznie został olany. Seria demonstracji przeciwko nierównościom społecznym rozpoczętych 17 września 2011 roku w Zuccotti Park w Nowym Jorku została faktycznie zignorowana. A tymczasem: „Według Josepha Stiglitz w latach 2009-2012 95% zysków w Stanach Zjednoczonych trafiło do 1% ludności”. Za Wikipedią.

Te dane o 1% wrednych kapitalistów są zawsze lewicowym dowodem na konieczność walki ze strasznymi nierównościami społecznymi. Kolejna pułapka humanistycznego patrzenia na świat. To dowód na coś znacznie, znacznie groźniejszego: spekulację. Jeśli prowadzimy realną produkcję, to nie ma sposobu, żeby robotnikom płacić w takich proporcjach od wartości wyprodukowanego towaru. Może by to zadziałało w odkrywkowej kopalni złota, w której grudy kruszcu walałyby się pod nogami. Ale rzeczywista produkcja nigdy takich zysków nie daje. Jedynie giełdowe kanty, różne transakcje wysokich częstotliwości, opcje do obligacji i temu podobne machinacje.

W rzeczywistości gdzieś od [17. misji Apollo](#) świat biznesu uznał, że czas najwyższy się wyrwać z przyziemnych okowów produkcji i zrazu nieśmiało, lecz coraz żwawiej pod dumnymi hasłami (och, naprawdę wiele tu by ich trzeba zacytować!) podążył właśnie ku spekulacji. Aż doszliśmy do programów obsługujących tak zwane transakcje wysokich częstotliwości, gdzie komputery potrafią w ciągu sekundy tysiące razy sprzedać i zakupić towar.

Aż walnęło się efektownie i klasycznie kapitalistycznie około roku 2008. Mógłbym tu wyliczyć wiele kryzysów, jak przypadek firmy [Enron](#) i innych znaków, które dobre bogi spuszczały dla opamiętania ludzi. Ale nie pomogło.

A tak, mamy w Polsce relatywną koniunkturę. Bezrobocie spadło, niektórym rosą zarobki. Innym spadają. Gdyby nie spadały, nie byłoby strajków czy to lekarzy, czy to nauczycieli. W rzeczywistości po rypnięciu się przeżartej spekulacją światowej gospodarki w tych okolicach kryzysu 2008 roku

mamy ciągle bryndzę. Nie ciepłą wodę w kranie, nie winę Tuska czy knowania Putina, ale bryndzę. To – jak określił kiedyś pewien literat – stan, w którym stać owego literata na dwa, trzy kieliszki wódki, ale na to, by się porządnie uwalić – już nie. Wyjątkowo wnerwiająca.

Wnerwieni ludzie, jak to zwykle w historii bywało, szukają ratunku w skrajnościach. Nie ma sensu psychologizować, czemu. Wiadomo dokładnie, co można zrobić, by zaradzić nieszczęściu: zwiększyć produkcję.

Czarno to widzę, ponieważ ta przeciwpopulistyczna krucjata odbywa się pod wszystkimi możliwymi hasłami, jest właściwie zlepkiem okrzyków. To taki miks jedynie słusznych politycznie, często wzajemnie sprzecznych pobożnych życzeń, od LGBT poprzez zwierzęta futerkowe aż po walkę ze smogiem. O produkcji owszem, wspomina się, ale w zupełnie innych okolicznościach. Tak w ogóle, gdy najdzie nas nostalgia, już wiemy, że deindustrializacja, czyli pęd do produkcji szajsu w krajach, gdzie siła robocza jest tania, a środowisko wolno zatruwać, to mógł być jeden z powodów kłopotów. Ale nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, że jeśli nie chcemy, by ludność szukała ratunku u jakichś Trumpów czy Kaczyńskich, to nie ekologia, ale produkcja. I pewnie musi coś trzasnąć, coś wielkiego się zawalić, nim uda się zburzyć mur politycznej poprawności. To straszne, że demokratyczne społeczeństwo wymaga produkcji, na odwrót zresztą także. Co przeciwczyliśmy w komunie.

Konkluzja jest taka, że populizm to nie Putin, nie wredny Trump, Nigel Farage, Kaczyński czy Orban. To tylko objaw choroby. Ci, co teraz lamentują, nawołują, co walczą, ciężko zapracowani, pod hasłami neoliberalizmu, wolności gospodarczej, walki z globalnym ociepleniem (i tu wpisz sobie czytelniku wiele jeszcze innych pozycji), sami zniszczyli produkcję, sprowadzili bryndzę, i rzec można, mają, czegoś sam chciał, Grzegorz Dyndało.

A skoro już zaczęliśmy od politpunku, to czy ekologię słusznie łączy się z lewicą? Moim zdaniem to ruch mocno antykomunistyczny. Coś mi odbiło? Pomyślmy. Co można było powiedzieć ludziom w czasach, gdy panowała jeszcze powojenna bida, a propaganda sowiecka reklamowała się dymiącymi kominami potężnego przemysłu? Tak zwany Wielki Smog Londyński zdarzył się pomiędzy 5 i 9 grudnia 1952 roku. A na ten przykład kartki na żywność utrzymały się w Anglii do roku 1954. Cóż, sposobu, by na szybko zwiększyć produkcję żywności, nie było. A kominy socjalistycznych fabryk tak dziarsko dymiły... Jak walnąć w symbol komunistycznej propagandy? Poczytajmy [notatkę choćby w Wikipedii](#). Prawdopodobnie w tym wielkim mieście nikt nie zauważyłby zgonu 4000 ludzi, którzy z pewnością mieli i swój wiek, i choroby, gdyby nie akcja jakiejś zorganizowanej grupy. Czy Greenpeace to produkt CIA, który wymknął się spod kontroli jak talibowie, to już temat dla pisarza muszającego koniecznie wydać sensacyjną książkę. Chyba.

Adam Cebula